

WIADOMOŚCI BRUKOWE.

Wilno w Sobotę

Dnia 26 Lipca.

KORRESPONDENCYA.

Strandule, 15 lipca, 1819.

Panowie Szubrawcy!

Mój oyciec, nie chwając się, był tak rozumny jak ja: a ja zupełnie tyle mam rozumu, co mój oyciec. Nie potrafię opisać WPanom jego głębokiej mądrości; dosyć, gdy powiem, że JW. mój oyciec był razem sędzią grodzkim i plenipotentem kilku panów; że gdy zacznie, bywało, dysputować z moim panem dyrektorem u stołu, o strachach w osieci, o załomach w życie, i dalszych uczonych rzeczach, dotak żwawego zazwyczaj przyydzie między nimi swaru, że powywracają butelki i szklanki, pobiją talerze, ściągają obrus na ziemię, i nakoniec, oba czerwoni jak pieczenie, z krzesel się zwalą. Tomito dysputy, z których ja czerpałem wszystkie najszybsze wiadomości. Dnia jednego, pamiętam, rozprawiali o komecie, który się wtenczas był pokazał. Mój oyciec powiadał, że będzie woyna; pan dyrektor zaś utrzymywał, że umrze xiądz Opat. Tak przechodząc od woyny do opata, i od opata do woyny, przyszło nakoniec do czubow. Ponieważ zaś pan dyrektor mocniejszy był w tym argumencie, ja sam więc oycu mojemu dopomogłem do zwalenia przeciwnika; i gdyśmy go znaleźć przycisnęli, zawołał dobrodziej: *concedo bellum*. Tak więc gdy już nie było wątpliwości o woynie, nazajutrz zazwał mój oyciec do siebie i rzekł: Mój Bonawenturko! woyna pewna; ty jesteś odwieczny szlachcie, trzeba więc już myśleć, jak na słusznego obywatela przystało. Pamiętam ja dobrze, gdy za nieboszczyka Króla Jana III, najjaśniejsze Rzeczypospolitej stany postanowiły na seymie pobiec Turków i odebrać im kiesy. Wszystka szlachta obiecała ruszyć na Bisurmanów; lecz

gdy przyszło do rzeczy, Król pojechał na woynę, a szlachta na kontrakta do Lwowa. Oyciec mi jednak kazał koniecznie iść zabijać Turków i oddał mię do Husarów. Ciągnęło nasze korpus na Podole, w żupanach, w kurtkach, taratałkach, w czapkach, i bez czapek, w bótach i pantoflach, strzelając kury, łapiąc raki, szczypiąc po drodze orzechy, aż nakoniec przyszliśmy pod Kamieniec. Ja widząc, że tu nie żartem chcę strzelać, chociaż byłem mężny, i sam jeden niekiedy z moją szarpatynką rozpędzałem cały seymik, poznavszy jednak, że Turki nie po chrześcijańsku biją, wyrzekłem się wszystkiego i wezwał uciekłem do Dubna, gdzie zostawał, póki się woyna nie skończyła. Widzisz tedy mój synku, że na woynie strach! Kometa się pokazał; trzeba się więc gotować do woyny; zatem jutro, mój Bonawenturko, oddaję cię do adwokata, i tam, póki ta burza nie przyydzie, uczyć się będziesz pisać pozwy. Posłano mię do Telsz do mecenasasa; tam zostawałem przez pół roku, czekając ustawicznie woyny, o której ani słyhu nie było. Tak tedy, przejęty mężnym zapalem, zacząłem się umizgać do pani mecenasowej; lecz pan mecenas, biegły w prawie krajowem, nadybał mię jednego razu..., i dał sto batogów na kobiercu. Nie mogąc znieść tego traktamentu, uciekłem natychmiast od mecenasasa, i w nocy przyjechałem do domu. Przesraszony nieborak mój oyciec, rozumiał zrazu, że Turki obległy już Telsze; lecz ja bojaźń jego uspokoiłem, powiadając: "Kochany tatuniu, ten przeklęty kometa z ogonem, nie znaczył wcale woyny ale to, że ja dostanę w ogon." Opowiedziałem oycu mą przygodę; zdziwiony i zasmucony staruszek, szukał we wszystkich kalendarzach krakowskich, czyli tam co o moim przypadku nie przepowiedziano; lecz

nic podobnego nie znalazłszy, zaprosił naza- jutrz pana podsędka, xiędza proboszcza i organistę na radę, na której, pochlebnie dla me- cenasasa, uchwalono, że się to naturalnym rze- czy porządkiem stać nie mogło; że potrzeba było rewolucyi w przyrodzeniu, żeby Pan Sę- dzic dostał w skórę, i że kometa przepowia- dała tę okropną dla powiatu telszewskiego klęskę.

Na nieszczęście niedawno znowu się jakiś kometa ukazał na niebie. WPanowie, co czy- tacie drukowane książki, raczcie mi powiedzieć, czy mię czasem drugi raz podobny nie czeka przypadek? Ludzie rozmaicie powiadają; lecz ja się boję, żeby tu znowu o moję nie chodzi- ło skórę. Przed trzema dniami, zaprosilem na radę kilku urzędników mojego powiatu. Pan Prezydent utrzymywał, że ta miotła na niebie zapowiada wyraźnie, iż nasza partya na przy- szłych seymikach upadnie. Pan Podsędek: że nie będzie żadney exdywizyi. Lecz Pan Łow- czyż już rozpacza, że w tym roku nie da Pan Bóg burz ani piorunow na skarbowe puszcze. Ja słuchałem tego wszystkiego; lecz wiedzia- łem, że tu o mnie chodzi. Kazałem wynieść stół na podworze, dobyć kilkadziesiąt butelek starego wina, i o godzinie trzeciej po południu zasiedliśmy czekać na kometa, i rozpamięty- wać o różnych wypadkach, rewolucyach, i wiel- kich przemianach, które zjawieniu się komet zazwyczaj towarzyszyły. Już tylko trzy bu- telki wina zostawało, gdy Pan Prezydent po- strzegł razem pięć komet, z ogromnemi ogo- nami i wielkich jak barany. Zaczęliśmy sobie pokazywać wzajemnie te niebieskie miotły; wszy- scy nayokropniejsze wnioski z tak wielkiej ich liczby tworzyli, wszyscy przewidywali srogie klęski, niepokoje, wojny, nieprzyjaciół i rabu- siów, tak dalece, żeśmy jeszcze dwadzieścia butelek ze strachu, nie wiadomo jak, wypili. Goście moi rozjechali się w nocy do domów. Pan Łowczyż twierdzi, że pod samemi Telsza- mi spotkał oddział perskiej kawaleryi; prezy- dent zaś słyszał, na swoje uszy, strzelanie z har- mat o pół mili. Pan Podsędek, jeśli dobrze pa-

mięta, zdało mu się, iż znalazł w domu przy swej żonie tureckiego porucznika. . . . ? Chwa- ła Bogu, uspokoiły się już te rozruchy. Ja jeden tylko w nayokropniejszey zostaję niespo- koyności; zdaje mi się iż widzę zawieszony nad sobą batog, za niesprawiedliwe osądzenie ostatney exdywizyi. Jedyna moja ucieczka do WMPanow, PP. S ubrawcy! Raczcie rozczy- tać się dobrze w swoich książkach, czy ten ko- meta prosto się do mnie ściąga; czy ja dosta- nę w skórę, i jeśli dostanę, wiele batogow na zapowiada? Za co będzie wam nieskończenie obowiązany wasz prawdziwy podnózek,

Bonawentura Parstukiewicz.
ex-Sędzia gr. ptu. etc.

KILKA SŁÓW O SCENACH NARODO- WYCH.

Nie byłyby Brukowe Wiadomości pismem peryodycznem, gdyby też kiedy cokolwiek nie napisały o teatrach; jestto materya ważna, godna uwag i zastanowień publicznych. My je- dnaak, jako na pierwszy raz, nie sięgniemy wy- żej nad Dyalogi, lubo i to nie bardzo jest nisko.

Dyalogi nie są tak małą rzeczą, jak się komu zdaje. Nie tylko matki i dzieci, bawili się niemi i oycowie. Dawniey uymowano im wprawdzie nieco z ich powagi, przez bawienie się i bawienie niemi po większej części samych tylko dzieci: ale nie ma to miejsca dzisiay, kiedy bawią niemi i bawią się pod wąsem JPP. akademicy i guwernerowie. Wiedzieć i to potrzeba: że dziś P. Guwerner więcej niekie- dy w domu znaczy, niż dawniejszy P. Dyre- ktor; zaziera on częstokroć daley, niż do książ- ki: może być razem guwernerem, agentem, a nawet rejentem przy Panu Sędzim. Owszem, kiedy dawniey trzymano guwernerów dla dzie- ci, dziś żeby dzieci utrzymać przy guwerner- rach, bywa ambaras w domu. Więć kiedy tak poważna figura tradni się wyprawianiem dyalogów, nie jestto już staroświecki dyalog.

Szkoda wąsów, rzece kto: tak jest, ale i z tego zrobiono dziś komedya. Pan Akademik, na przykład, co już dwa lata jest kandydatem do tańczącej *solo* Gracyi, i zdaje mu się, że zostanie magistrem, nie jest akademik staręj daty, któremu ziązka zawracała głowę; o mało sznurów nie pozyrywał, gdy mu przyszło lecieć z obłoków do swej Dulcynei. Zresztą dialogi dzisiejsze różnią się we wszystkiem od dawniejszych: tu Boginie i Nimfy niezmyślone plei swojej grają role. Sam nawet układ sztuki w nagłych swych zwrotach od smutku do wesołości, od srogosci do pieśczoży, a to wszystko w jednej i teyże samey reprezentacyi, zasługuje na nowy dramatyczny tytuł. My nie mogąc tego nazwać ani komedya, ani trajedya, nazwaliśmy sobie *Comico-Tragico-Gapio-grą*. Nie przywiązujemy się jednakże ślepo do wynalazku naszego; pozwalamy dadź nazwanie stosowniejsze, jeśli się komu trafniey uda, a tymczasem dla obeznania czytelników naszych z tym nowym Melpomeny tworem, czynimy opisanie scen następujących:

Scena przedostatnia (miejsce reprezentacyi w Infirmaryum). JP. Guwerner w roli Gengiskana, wystąpił z czapką ulańską na głowie, zamiast zawoju; bo się można domyślić, że w tamtey stronie nie łatwo było o zawoy; a zamiast brylantowey kity, przypiął do czapki buńczuk, czyli kropidło. Nie byłoż to razem i straszno i śmieszno, gdy srogą postać Tatarzyna, w czapce ulańskiej z kropidłem, udawał niepoczesny guwerner. Lecz nierównie było śmieszniey i boleśniey widzieć: gdy wyszła za nim Roxolana nieco chromiejąca; na szczęście nie długo bawiąc, znikli oboje... Zjawiła się natomiast Bogini Flora, strojona ręką uczoną podług Pana Floryana, jak druga króla Samnitów córka, przepasana gierlandą z najpiękniejszych kwiatów włoskich, ale wszystko forsowane... i w tymto akcie, wyleciał za nią w postaci geniusza JP. Akademik, z rozpiętymi skrzydłami, lecz uwiązany na sznurze. P. Guwerner tymczasem, według zwyczaju

swego, dla przyczynienia blasku bogini, stając, że będzie tańcowała, ucierał świece; lecz bogini tą razą, dla jakiegos kaprysu, nie tańcząc znikła; znikł i akademik... — Scena ostatnia JP. Guwerner ukazał się w postaci szafarza, z półmiskiem pokrzywę i konwią źródłaney wody. Niektórym spektatorom nie podobalo się i jedno i drugie; ale guwerner, naglą i czarodzieyską sztuką, zamieniony w koniuszego, wjechał na teatr na drągu, jak ów *Rochus Pumpernikiel*, w żółtym fraku, z arcabem różowemi wstążkami oplecionym, z wielkim tupelem na głowie, z drewnianemi ostrogami, z dzirydem w rękę; a miasto szpady, miał zaczepiony przy boku kuchenny rożen. Ten rożen kuchenny przy boku, nie jednemu ze spektatorow podał materya do myślenia: jak jest lepiej piec pieczenia: na rożnie, lub w piecu? Takto, chociaż na pozor zdają się bydź puste podobne spektakle, niegodne zabaw ludzi rozsądnych; nie są atoli bez korzyści, gdy są pobudką do uwag; z tych bowiem uwag o rożnie i pieczeniu, zrodził się następnie apetyt, a gdy już polowa spektatorów zaczęła poziewać, JW. Marszałkowa z P. Podczaszyną, P. Skarbnikową, P. Mostowniczyną, i dalszemi sąsiadkami, do których się przyłączył P. Sędzia Graniczny, jako wielki amator scen, śmieli się do rozpuku i całą tę reprezentacyą pokryli oklaskami. Zagniewał się P. Szambelan, osadziwszy, że temi oklaskami z niego się narągają; ale się łatwo uspokoił, gdy postrzegł, że na gniew jego nikt nie uważa — tak więc skończyły się sceny.

Wypadałoby teraz uczynić recenzya sztuki i skrytykować aktorów: ale to odkładamy do czasu późniejszego.

IXOWIS.

Nowy Słownik, ludziom dobrego tonu przypisany.

Arka Noego. Zmniejszony, ale trafny obraz świata. Zwierząt pełno, ludzi mało.

Cnota. Świetna opończa, którą każdy swoje brudy zakrywa.

Dowcip. Rodzay dekoracyi, co się za pieniądze nabywa: im kto bogatszy, tym się zdaje dowcipniejszy.

Długi. Modny ubior, bez którego nikt się teraz nie pokazuje.

Duma. Gatunek ospy wielkich panów, o sobliwie niedawno powstałych, na którą nie ma lekarstwa.

Etykieta. Turma, służąca dobremu tonowi do zamykania wesołości, dobrego humoru, naturalności, szczerości, i t. d.

Exdywizya. Modny sposób polowania na wierzycielów, bardzo teraz używany.

Fanfaronada. Modny oręż, którym wszyscy wojują; ma własność piki, z którą niegdyś jeździła Bradamanta; kogo dotknie, tego odepchnie.

Filozofija. Patent na grubiaństwo, niechędóstwo, ton decydujący, i t. d. Filozof dzisiejszy (*) powinien być brudno ubrany i niegrzeczny: tém przekonywa, że jest wyższy nad pospolitych ludzi.

Glupstwo. Modny kapelus, w który zazwyczaj przybrane są głowy młodzieży dobrego tonu.

Grzeczność. Modna komedia, z wielkim skutkiem grywana.

Honor. Dodatek do rozmowy. Ton dobry każe go co słowo używać.

Hypokryzja. Maść modna, którą ton dobry smaruje twarze ludzi wielkiego świata.

Interest. Kluczyk, którym się ludzie jak zegarki nakręcają.

Kłamstwo. Gałąź edukacyi ludzi wielkiego tonu; zajmuje teraz miejsce nudnej i niepotrzebnej nauki, zwanej Logiką.

Literatura. Trumna na ton wielkiego świata; nikt dobrego tonu bez spazmów spójrzyć na nią nie może.

Ludzkość. Przywilej na pijaństwo.

Miłość własna. Zwierciadło czarodziejskie, w którym człowiek pospolity wydaje się olbrzymem; głupi mądrym; próżniak pracowitym; brzydki pięknym; nudny dowcipnym, i t. d. Zdobi toalety wielkich panów, modnych kobiet, wielu i z duchowieństwa; słowem: trzy części ludzi.

Miłość. Mundur, w który się interess zazwyczaj ubiera.

Nauka. Rodzay emetyku dla modnych pań i paniczków.

Niewinność. Ubiór, który wraz z róbrotami jeszcze wyszedł z mody; ta, coby się teraz w nim pokazała, byłaby wyśmiana.

Obyczajność. Wysza dawno z mody; jest to największy rodzaj wstydu, którymby się okrył człowiek dobrego tonu.

Odwaga. Połóg góry, — w Baykach Ezopa.

Pamięć. Worek na płotki; dawniej, niepotrzebne rzeczy, bo nauki, w nim chowano.

Pieniądze. Klucz, który wszystkie serca otworzyć potrafi.

Płotki. Choroba zaraźliwa; wszystkie stany na nią chorują.

Prawda. Bóztwo, które już dawno cześć przestali.

Przyjaźń. Ulubiony i modny wyraz ludzi dobrego tonu.

Próżniactwo. Dziecię przybrane dobrego tonu.

Rekollekcye. Dawniej skutecznej na siebie uwadze człowieka służące, teraz modna maskarada, na której interess, дума, niepotrzebne romanse, złe postępki, kokieteryja, i t. d., pokazują się pod postacią nabożeństwa i skromności. (Dokończenie nastąpi.)

(*) Rozumie się *falszawy*: jakich, niezliczona jest mnogość.

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komitetu Cenzury siedmiu egzemplarzy dla miejsc prawem wyznaczonych.

F. N. Golański Kom. Cenzury Czł.

w Wilnie w drukarni Redakcyi pism peryodycznych.